

RÓŻOWY FRAK

Był to jeden z tych dni, gdy słońce nad tobą świeci radośnie, niebo jest bez chmurki, ptaki świergolać wesoło i jeszcze nie jest zbyt gorąco, żeby cieszyć się dniem na wolnym powietrzu. W taki dzień bierze się książkę pod pachę i idzie do parku. Wybiera się ławkę z ładnym widokiem na wodę i zagłębia się w lekturze. Tak właśnie zrobiłem. Czas mijał leniwie, kolejne kartki dostarczały mi coraz to nowych wrażeń, aż nagle ktoś usiadł obok mnie.

- Dzień dobry - powiedział ostrożnie - pamiętasz mnie?

Podniosłem oczy znad książki. Przybysz kładł właśnie cienką teczkę ze skajlu tuż obok siebie. Pewnie żeby jej później nie zapomnieć, bo ważne papiery w niej były.

- Witam panie Zdzisławie! - ucieszyłem się szczerze. Znałem go od dawna, ba, traktowałem go nawet kiedyś jak ojca, którego mi bardzo brakowało.

- Dawno pana nie widziałem. Co słychać?

- E tam - zachnął się mój rozmówca - właściwie nic takiego.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Życie toczy się jak zwykle. Może tylko to, że mam więcej obowiązków w Stowarzyszeniu, ale nie narzekam. Ludzie mi pomagają. Nawet prosić nie muszę. Robimy bardzo dużo niezwykle popularnych imprez; a ile ludzi dzwoni potem do mnie z pochwałami dla naszej działalności! Ho, ho! - uśmiechnął się do siebie. Członków też takich zdolnych mamy w Stowarzyszeniu. Wszyscy chcą pracować ... społecznie. Wystarczy tylko pomysł rzucić, a reszta idzie jak z płatka.

Przed nami wolno przejechała, na różowym rowerze, szczupła blondynka w szortach. Żwir chrzęścił pod oponami. Spojrzała na nas z uśmiechem i skinęła głową. Uśmiechnąłem się w odpowiedzi, ale chyba już tego nie zauważyła. Dziwne ... jej uśmiech wyglądał bardzo słowiańsko.

- Opłatek? Jaki opłatek? - zdziwiłem się autentycznie.

Mój rozmówca spojrzał na mnie dziwnie. Wyglądało jakby się rozpytywał. Sięgnął ręką po teczkę i powiedział:

- To może ja już pójdę.

Wzruszyłem ramionami.

- No cóż - pomyślałem - początek tej znajomości był bardzo obiecujący, ale jakoś nie pasowaliśmy do siebie. Nie ufał mi, może nawet się trochę obawiał mojej samodzielności. Kto wie? Patrzyłem za nim, aż zniknął za zakrętem. Sięgnąłem po książkę, ale jej nie znalazłem. Nie było jej ani na ławce, ani pod ławką, ani tym bardziej za ławką.

- Ki diabeł - pomyślałem - Zdzichu mi chyba jej nie rąbnął?

Nie miałem jednak ochoty go gonić, więc zacząłem zastanawiać się, jak

najmilej spędzić resztę popołudnia w parku. Pogoda zrobiła się jeszcze piękniejsza. Było jakby trochę cieplej i lekki wiaterek miło chłodził twarz. Nad trawą po drugiej stronie ścieżki dwa motyle uganiały się za sobą. Trochę dalej w tle siedziała łabędzica w gnieździe schowanym częściowo w szuwarach przy brzegu parkowego jeziora.

Idylla, sielanka, eden, landszaft, kicz - myślałem i aż niedobrze mi się zrobiło z tej błogości. Spojrzałem w lewo i w prawo - nikogo w pobliżu nie było, tylko ptaki ćwierkały zawzięcie w krzakach za ławką. Obejrzałem się próbując wzrokiem wyłuskać z listowia chociaż jednego z nich.

- Przecież mówiłam ci, że wszystko pójdzie dobrze - dobiegło do mnie z drugiego końca ławki.

Odwrociłem się szybko. Siedziała tam para w średnim wieku. Ubrani odświeżenie, jak do kościoła. Mężczyzna patrzył na mnie poważnie. Zapadła niewygodna cisza.

- Czy my się znamy? - spytałem niepewnie.

- Nie sędzę - odparł, uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę.

- Marek - przedstawił się - a to moja żona Barbara. Basiu, przedstaw się panu.

Żona pana Marka podała mi dłoń z miłym uśmiechem.

- Bo wie pan, mąż biznes chce budować w mieście, taki klub, dla wszystkich Polaków, żeby mogli spotykać się razem, tak niezależnie od organizacji, do których należą, ale martwi się, że nikt mu nie pomoże, bo tu, panie, każdy sobie rzepkę skrobie.

Uśmiechnąłem się ze zrozumieniem.

- Byłoby tam polskie kino i teatr, i restauracja polska i kawiarnia z małą sceną dla kameralnych występów kabaretowych - kontynuowała pani Basia - no i oczywiście galeria sztuki i muzeum. Mamy przecież tylu dobrych artystów, którzy by chętnie wystawiali i sprzedawali swoje prace. Polska biblioteka też by znalazła tam swoje miejsce i szkoła dla dzieci.

Pani Basia rozmarzyła się na chwilę.

- No i wie pan, właśnie dziś w naszej gazecie ogłosili wynik ankiety i okazało się, że Polacy w Winnipeg poparli pomysł męża. Tylko patrzeć, a zacznie się zbiórka pieniędzy. Rodacy pomogą.

- Mówiłam ci, że się uda - zwróciła się do męża - może zbudujemy go gdzieś koło takiego pięknego parku jak ten - popatrzyła wkoło.

Pan Marek też rozejrzał się z uśmiechem dookoła kiwając głową. Rzeczywiście ładnie tu było, a jeszcze

jakby połączyć taki park z Klubem Polskim. Szczególnie urokliwie było za jeziorkiem. Tam były ładne miejsca. Podziwiałem przez chwilę naprawdę piękny widok i nawet spodobał mi się pomysł pana Marka.

- Wie pan - zacząłem zwracając się do mężczyzny ... i wstrząsnęło mną do głębi. Na miejscu nieznanym pary, na ławce siedziały dwie sroki. Patrzyły na mnie kręcąc główkami jakby z ironią, jakby z ciekawością, by za chwilę skrzeczając przeraźliwie odlecieć na pobliskie drzewo. Starłem się nie przejmować. Tyle dziwnych rzeczy dzieje się na świecie.

- Relax - pomyślałem po angielsku.

Przeciagnałem się i spojrzałem w dół. Między ziarenkami żwiru, tuż przede mną leżała mała złota moneta. Schyliłem się i podniosłem.

- 1 grosz? - zdziwiłem się - w Winnipegu?

- To na szczęście - usłyszałem.

Przedem stały długie nogi w różowych tenisówkach. Podnosiłem głowę powoli ... powoli. Ptaki zamilkły, motylki gdzieś przepadły, a mnie zamurowało. Szczupła blondynka z różowego roweru stała przede mną z uśmiechem, który nie dawał żadnych wątpliwości co do intencji jego posiadaczki. Pochyliła się wolno nade mną. Wyglądało na to, że za chwilę naprawdę mi się poszczęści. Przykniąłem oczy. Poczulem jej dłonie na ramionach i zaraz potem mocne szarpnięcie otworzyło mi oczy. Przedem majaczył policjant w różowym fraku. Mrugnąłem kilkakrotnie nie wierząc własnym oczom. Nie, to był jednak zwykły granatowy mundur policjanta kanadyjskiego.

- Tu nie wolno spać - zahuczało z góry - dobrze się pan czuje? - dodał zaraz trochę łagodniej policjant.

- Tak, tak - odparłem.

Podniosłem z ziemi książkę, wstałem i szybko oddaliłem się od przedstawiciela porządku publicznego. Pogoda się popsukała i już chyba nikogo interesującego tu nie spotkam. Może zresztą to wszystko mi się tylko przysniło?



Bolesław Łucki



Rys. Adam Wycichowski

Z DZIEJÓW POLSKI

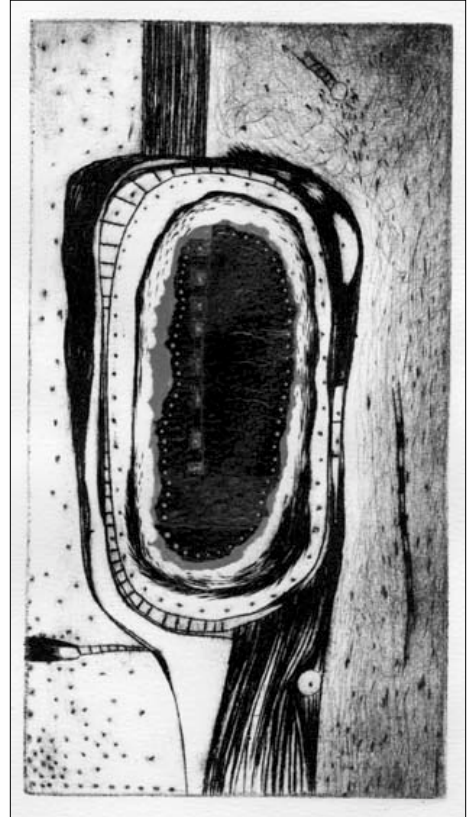
200 lat temu Jędrzej Śniadecki pisze *Początki chemii*. Powstaje polska terminologia chemiczna.

100 lat temu w Krakowie ruszył pierwszy tramwaj elektryczny i zaczęły działać wodociągi.

50 lat temu attaché kulturalny ambasady polskiej w Paryżu Czesław Miłosz podejmuje decyzję o pozostaniu na emigracji.

EWA TARSIA

Kolejna wystawa polskiej sztuki odbywa się aktualnie w Winnipegu. Tym razem swoje prace wystawia artysta plastyk Ewa Tarsia. Wernisaż ma miejsce w siedzibie WPDB Advertising w St. Boniface, 169 Marion St. i w pracowni pani Ewy. Ekspozycja prezentuje również kilkanaście prac Dominika Rebelki, malarza i grafika mieszkającego w Polsce. Wystawa potrwa do 10 lipca 2001 r. Zainteresowani obejrzeniem prac w pracowni mogą skontaktować się z panią Ewą Tarsią, tel. 654-3835.



Na zdjęciu jedna z licznych grafik Ewy Tarsii.

Myśli z pogranicza SNU i POEZJI

Mały żołnierz

Ładuje strzelbę z drewna kulą
Podciąga szelki, marszczy brew
Idzie na wojnę do salonu
Idzie przelewać dziecinną krew

Wiedzie najokrutniejszą z wojen
Zbrojnie przekracza piekła próg
Strzela, zabija, torturuje
Litości w nim nie zagna wróg

Wtem sam dostaje kulę w serce
Chwieje się, pada, broczy krwią
Choć wyobraźnią uzbrojony
Musi się poddać n a s z y m snom

(eu-be)